

**WIERZYM**

**W WOLNOŚĆ**

Antologia opowiadań  
o prawach człowieka

AMNESTY  
INTERNATIONAL



Wydanie 1

Skład: 180heartbeats+ JUNG v MATT

Redakcja i korekta tekstu: Katarzyna Szarafińska

Copyright: Amnesty International Polska

2020

# WIERZYM W WOLNOŚĆ

**Antologia opowiadań  
o prawach człowieka**  
na 30-lecie  
Amnesty International w Polsce



# ALHAMDULELLAH

LUDWIKA WŁODEK



– Tiiii... tiii...tiii... – wył telefon coraz głośniej. Zajął mi chwilę, zanim się zorientowałam, że to mój budzik. Mniej więcej po tygodniu wstawania o czwartej trzydzieści tak zniechęciłam się dźwięk budzika, że zaczęłam go coraz częściej zmieniać. Kiedy zdarza się, że ktoś ma taki sam sygnał dzwonka, jak mój budzik, aż podskakuję przerażona. A w kolejce telefony dzwonią non stop. W marszrutce, na dworcu, cały czas ktoś do kogoś usiłuje się dodzwonić, coś przekazać: tak, puszczają, nie, nie puszczają, może dziś puszczą, jak nie puszczą to coś tam. Wszystkim nam chodzi o to samo, żeby puścili.

Już dawno przestałam sobie mówić: „może dzisiaj”. Działam jak automat. Budzik, szybka toaleta, bo najczęściej myję siebie i dzieci poprzedniego dnia, żeby rano zaoszczędzić czas, modlitwa. A potem pakowanie torby, śniadanie dla dzieci, herbata do termosu w białe groszki, kupionego jeszcze na Korbonie w Duszanbe. Ostatnio zaczął przeciekać, a od tygodnia nie miałam czasu iść na bazarę kupić nowy. Poza tym szkoda mi pieniędzy, nie wiem, na ile mają starczyć, a i tak już się kończą.

W trzy miesiące wydałam wszystko, co mój ojciec dostał za sprzedaż mieszkania w Duszanbe. Po śmierci mamy postanowił wrócić na wieś, do swojego domu rodzinnego, gdzie mieszka jeszcze jego młodszy brat z rodziną. Pieniądze za mieszkanie miały być jego wsparciem na starość. W Tadżykistanie za emeryturę

nauczycielską, a tata był nauczycielem, można kupić worek lepioszek, worek warzyw, olej, może worek ryżu. Kawalek mięsa. Za te same pieniądze można by zjeść w kilka osób kolację w restauracji, z herbatą i owocami na deser, ale jedną, na więcej nie starczy.

Tata będzie musiał się nauczyć żyć za ten worek lepioszek. Dobrze, że mieszka ze stryjkiem, pomogą mu. Kilkanaście tysięcy dolarów poszło na moją ucieczkę. Czasem myślę, że skoro wydałam już tyle, to mogę wydać i kolejne trzy dolary na nowy chiński termos, ale potem przywołuję się do porządku. Said od dawna kaszle, od dziesięciu dni coraz mocniej. Jak nas szybko nie puszczą, będę potrzebowała jeszcze pieniędzy na lekarza. Nie mogę go w nieskończoność leczyć syropem z kiosku aptecznego na dworcu.

No więc, herbata, termos w folię i zaczynam budzić dzieci. Najpierw Madina, najstarsza. Za 10 dni skończy 11 lat, nawet boję się pomyśleć, jak i gdzie będzie obchodzić urodziny. Madina pomaga mi potem przy ośmioletnim Saidzie i pięcioletniej Zajnab. Ją najtrudniej dobudzić. Zaczęłam ją kłaść w ubraniu, i tak tu jest dość zimno, ale nawet to, że rano nie musi się już ubierać, nie pomaga. Płacze prawie zawsze po wstaniu. Tak, jakby to była moja wina, że ją budzę. W domu budził ją Farhidin. Była jego oczkiem w głowie. Jak byłam w ciąży, cieszył się, że może będzie miał drugiego syna, ale jak się urodziła Zajnab, był przeszcześliwy.

O piątej schodzimy na dół. Czasem musimy parę minut czekać w ciemności, czasem busik już stoi. W tym samym bloku, co my, mieszkanie wynajmuje jeszcze jedna rodzina z Tadżykistanu, kawalek dalej jedziemy po dwie Czechenki. Wszystko jest tu świetnie zorganizowane, zastanawia mnie czasem, ilu mieszkańców



Brześcia ma pracę dzięki nam, uchodźcom. Osobne mieszkanie kosztuje co najmniej 20 dolarów dziennie, na ogół więcej. To i tak luksus. Jeśli szybko mnie nie puszą, będę musiała się przenieść do hostelu, bliżej dworca. Tam mieszka większość uchodźców, niby nie trzeba tak wcześnie wstawać, ale gorsze warunki. Jak ktoś zupełnie nie ma pieniędzy, koczuje na dworcu. Mam szczęście, że mogę z dziećmi mieszkać oddzielnie.

W marszrutce znów się modlę. Wierzę, że w końcu mi się uda. W Tadżykistanie wymodliłam sobie, że mnie nie aresztowali, dlaczego teraz Allah miałby mnie nie wysłuchać? Bóg jest miłosierny, tylko on jest moją nadzieją.

A było blisko. Niewiele brakowało, a siedziałabym teraz, jak mój mąż, oskarżona o próbę dokonania zbrojnego przewrotu, wspieranie terroryzmu i Bóg wie, co jeszcze. 4 września była ta strzelanina. Blokadami i kontrolami sparaliżowali całe miasto, nie wiedzieliśmy, co się właściwie dzieje, a wieczorem ogłosili, że wice-minister obrony, generał Nazarzoda usiłował zrobić zamach stanu. I że to nasza partia, Partia Islamskiego Odrodzenia Tadżykistanu, za tym stoi. Czyli że i mój mąż, nauczyciel chemii z liceum. Taka ofierma, za przeproszeniem. Poznaliśmy się przez rodziców, jego ciotka skądś знаła moją mamę. Spodobał mi się, że taki łagodny, dobrze mu z oczy patrzy. A potem to mnie nawet często denerwował, że taki delikatny. Ale lubiłam to. Dlatego może miał taki dobry kontakt z naszą najmłodszą córką. Cicho mówił, spokojnie, nigdy się nie denerwował. A teraz zamach terrorystyczny.

Ja też pewnie go przygotowywałam, skoro cała partia, to cała. Ja, nauczycielka angielskiego. Nie uczyłam w szkole państwowej,

tam nie mogłabym chodzić w chuście. Na żadnej państwowej posadzie nie mogłabym pracować. Nasz prezydent bardzo pilnuje świeckości państwa. Szkoda, że nie pilnuje, żeby państwo było uczciwe. Nauczyciel nie może naruszać zasady świeckości państwa, ale za to może brać łapówki za każdy lepszy stopień. To samo wykładowca. U nas indeksów bez okrągłej sumki już się nawet nie przynosi na egzamin. Dwadzieścia dolarów w środek i dopiero zaczyna się wpisywanie ocen. Nawet na widzenia do więzienia trzeba przychodzić z pieniędzmi. Płacisz strażnikom, żeby choć jeden dzień nie dręczyli twojego syna, męża czy ojca. Kupujesz im jedzenie, papierosy, tylko po to, żeby choć trochę lepiej traktowali tego, którego przychodzisz odwiedzić. A i tak, jak możesz odwiedzać, to jesteś szczęśliwa. Większość rodzin politycznych nawet nie wie, gdzie ich bliscy są przetrzymywani i czy w ogóle żyją.

Pracowałam w partii. Zajmowałam się prowadzeniem biura, uczyłam dzieci na douczkach z islamu. To takie kursy, które prowadzimy w regionalnych siedzibach partii, ale dzieci mają zajęcia też z angielskiego i informatyki, nie tylko sam Koran. Poziom nauczania w publicznych szkołach jest tak niski, że wszystkiego trzeba się uczyć prywatnie. Partia pomaga najbiedniejszym. To znaczy pomagała, bo teraz została zakazana. Nazwali ją organizacją terrorystyczną i zakazali.

Byliśmy dla nich niewygodni. Jako jedyni patrzyliśmy władzy na ręce. Tylko nasi nieliczni posłowie głosowali przeciw rządowym ustawom. Nawet komuniści, którzy są teoretycznie w opozycji, zawsze jednak znajdują pretekst, żeby głosować tak, jak się

prezydentowi podoba. I dlatego mają w parlamencie kilka razy więcej posłów niż myśmy mieli. I nikt ich nie nazywa terrorystami. Ja terrorystka? Mój mąż terrorysta? Nienawidzę tego słowa. Powinni go zakazać. Na całym świecie. ONZ powinna go zakazać.

Startowałam w poprzednich wyborach parlamentarnych. Chciałam świadczyć za prawdą. Dać świadectwo. U nas w Madżlisie przyciski do głosowania na TAK są tak często używane, że aż się napis zatarł. NIE jest wyraźne, bo prawie nigdy nie używane. Marzyłam, że będę naciskać na to NIE. Czy jesteś za przedłużeniem kadencji prezydenta: NIE, czy jesteś za zakazem hidżabów w szkołach: NIE, czy jesteś za powołaniem syna prezydenta na takie a takie stanowisko: NIE, czy jesteś za sprzedażą za grosze majątku państwowego córce prezydenta: NIE. Nie, nie, nie, nie...

Dojechaliśmy prawie na dworzec, Mała znów marudzi, Said kaszle. Zaczynam się bać, czy jak był pod opieką mojej siostry, na wsi, już po moim wyjeździe, nie złapał czegoś poważniejszego niż przeziębienie. Muszę go koniecznie wysłać na prześwietlenie płuc. Tylko gdzie? Może już w Polsce. Ciekawe, czy można za darmo. Tak mu się dziwnie świecą oczy, podobno chorym tak się świecą. O Boże mój, miej nas w opiece.

Starsze dzieci, Said i Madina, ponad dwa miesiące były u mojej siostry. Wyjechałam z Tadżykistanu w połowie października, już po delegalizacji partii. Tylko z Zajnab, która na szczęście miała w papierach moje nazwisko, a nie męża. Za wszystko zapłaciłam. Można powiedzieć, że na każde kilkaset kilometrów pokonanej drogi szedł kolejny pokój z dwupokojowego mieszkania z kuchnią taty. Bałam się bardzo, ale u nas za pieniądze można wszystko, jak

masz pieniądze, to wtedy nagle już nie jesteś terrorystką, nawet ci do paszportu nie zagląдают.

Już w połowie września wiedzieliśmy, że po nas też przyjdą. Od razu, czwartego wieczorem, tuż po tym niby zamachu generała, zaczęły się sugestie, że był naszym człowiekiem, że za wszystkim stoi partia islamska. Mieszkaliśmy z mężem na tym samym osiedlu, co rodzina Kabiri, naszego przewodniczącego. Z okien widziałam ich blok. 15 września od samego rana kręciła się tam policja. Samego Kabiri już dawno nie było w Tadżykistanie, wyjechał jeszcze po wyborach parlamentarnych, w marcu. Pierwszych, w których nie zdobyliśmy ani jednego mandatu. Zgłaszaliśmy oszustwa, nieprawidłowości. Były okręgi, gdzie mieliśmy mocne oddziały, głosowało na nas mnóstwo ludzi, tymczasem w wynikach komisji na naszych kandydatów było po zero głosów.

Jak tylko zobaczyłam policję na osiedlu, zaczęłam pakować najpotrzebniejsze rzeczy, mąż był w pracy. Kiedy już szłam z dziećmi i tobołkami, na klatce spotkałam sąsiadkę. Powiedziałam jej, że jadę do rodziny na wieś. I jak po mnie przyszli i zastali zamknięte drzwi, oczywiście zapukali do sąsiadki. Powiedziała im, że wyjechałam. Nikt nas nie chciał przyjąć, w końcu zamieszkałam u siostry, kilkadziesiąt kilometrów od Duszanbe. Mąż do nas dołączył, udało mu się tego samego dnia, co ja z dziećmi uciekałam, jeszcze wrócić do domu. Ale nie zabrał wszystkiego. Miał nawet do mnie żal, że nie wzięłam jego paszportu. Ale jak ja mogłam myśleć o jego paszporcie, sama uciekałam, miałam troje dzieci do uratowania. On w ogóle nie chciał uciekać, uważał, że skoro jest niewinny, to nic mu nie grozi.

Po kilku dniach mąż wrócił do miasta, po paszport. Na wsi wszyscy doradzali mojej siostrze, żeby kazała mi się wyprowadzić. Było pewne, że prędzej czy później po mnie przyjdą. Co rano piłam herbatę, brałam kęs lepioszki i wychodziłam na cały dzień, nie mówiąc, dokąd idę, po to, żeby chronić siostrę. Jak przyjdą i o mnie zapytają, siostra naprawdę nie będzie wiedziała, gdzie jestem.

Zbliżało się święto, Idi Kurban, święto ofiarowania. 24 września z samego rana zadzwoniłam do męża. Nie odebrał. Wiedziałam, że to znak, że go zabrali. Zostałam sama, z trójką dzieci. Na dodatek mojego ojca wzywali już do prokuratury. Puścili go wolno, ale ostrzegli, że jak mnie nie przyprowadzi, to jego posadzą zamiast mnie. Ojciec ma 82 lata. Nie przeżyłby nawet kilku miesięcy w więzieniu. Wiedziałam, że muszę iść na to przesłuchanie. I że mogę z niego nie wrócić.

Modliłam się kilka dni, prawie bez przerwy. Madina i Said zostali u siostry, ja pojechałam z Zajnab. Przesłuchiwali mnie kilka godzin, czy wie pani, że mąż przynależał do terrorystycznego spisku, czy wiedziała pani, że w domu trzyma broń? Mój mąż? Broń?! On nawet barana nie chciał na wsi z ojcem zabijać. Żal mu było patrzeć.

I stał się cud, moje modlitwy zostały wysłuchane. Na przesłuchaniu zapomnieli mi odebrać paszport. Przestrzegli, że mam się nie ruszać z miejsca przebywania, że będę pod dozorem, ale nie wzięli ode mnie dokumentów. Tyle mieli w tych dniach roboty z tymi aresztowaniami, że chyba już sami byli tym zmęczeni.

Po wyjściu z prokuratury nie wróciłam do siostry. Już wiedziałam, że przyszli do niej, zaraz jak tylko wyszłam do prokuratury. Pojechałam prosto do taty, po pieniądze. Wieczorem siostra tylko

przywiozła starsze dzieci, żeby mogły się ze mną pożegnać. Chyba nie zauważyli, że to moje, siostra ma pięcioro, policjant, który pilnował już na pewno jej domu, mógł pomyśleć, że ze swoimi gdzieś jedzie. Tej samej nocy, o trzeciej, wzięłam Zajnab i wyjechałam z Tadżykistanu. Siostra miała pozostałej dwójce wyrobić paszport na swoje nazwisko. Też za łapówkę oczywiście. Na to poszła część pieniędzy z mieszkania, resztę ja wzięłam ze sobą. Teraz codziennie rano widzę, jak topnieją w oczach. Noszę je w szetce, pod bluzką. Czuję, jak mnie drapie w brzuch. Jak dziś mnie nie puszcza, zostanie mi już tylko na 10 dni mieszkania i jedne zakupy. Mam jeszcze pierścionek i kolczyki po mamie. Najwyżej sprzedam, chociaż szkoda, bo tutaj wszystko skupują do przetopienia, a to pamiątka.

Na dworcu już prawie wszyscy mnie znają. I ja znam każdy kąt. Ta sama utarta ścieżka co rano. Od 28 dni. Białoruscy celnicy, warszawska strona dworca, czekanie, czekanie i znów wszyscy pchamy się do kolejki, która przewozi przez Bug. A po drugiej stronie Polacy. Jest kilku celników. W sumie ich też już wszystkich znamy, i oni nas. Mam już taką jedną, upatrzoną. Wszyscy mówią, że jest miła. I lubi dzieci. Może mi się uda dziś do niej w kolejce stanąć. Może mnie wpuści.

Said znów kaszle, pociąg toczy się przez most nad rzeką. Trochę zamarzła, w nocy był mróz. Jak byłam w Moskwie, przez prawie dwa miesiące, było kilka mroźnych dni, przed samym Nowym Rokiem. Czekałam tylko na dzieci. Sama z Zajnab przenosiłam się z miejsca na miejsce, mieszkaliśmy kątem, to u jakichś kuzynów, to u sąsiadów wujka ze wsi. Każdy chciał się nas pozbyć. Nie dziwię

się. Nikt nie lubi rewizji, przesłuchań. Tym bardziej że nie wszyscy są tam legalnie, zawsze ktoś ma coś w papierach nie w porządku. Kontakt z policją to co najmniej sto dolarów w plecy. Nawet za krzywy stempel na rejestracji można płacić.

Wreszcie pociąg przejeżdża na drugi brzeg. Terespol! Uchodźcy idą do osobnej sali. Udało mi się stanąć we właściwej kolejce. Mamy czas, nalewam dzieciom herbaty, Saidowi na końcu, żeby nie zaraził sióstr, choć to i tak bez znaczenia, przecież wszyscy śpimy w jednym łóżku, na rozkładanym tapczanie kawalerki, którą wynajmuję.

Wreszcie przychodzi moja kolej. Żeby skrócić sobie czas, liczę. Po angielsku, żeby nie wyjść z wprawy. 28. dzień na granicy, 117 dni od kiedy wyjechałam z Tadżykistanu. Plus 19 i wyjdzie, ile mój mąż już siedzi. Dziś będzie 136 dni. Jeśli zamknęli go 22 września. Bo jeśli 23, a tego nie jestem pewna, to dopiero 135.

Coś dużo puszcza ta moja. Boję się, że na mnie skończy się szczęśliwa seria. Łapię się na tym, że rodzinie Kurdów, którzy dojechali tu przez Ukrainę, życzę, żeby zostali odesłani. Nawet trochę ich poznałam, przez chwilę na granicę jeździła ze mną inna Tadżyczka z partii, krewna naszego przewodniczącego, ale puścili ją po tygodniu. Ponieważ była przez dwa lata w Turcji, na takich kursach islamskich, znała turecki. W kolejce jakoś tak ci Kurdowie kleili się do niej, trochę mieli za swoją przewodniczkę, bo oni przecież po rosyjsku ani słówka. Ona z nimi rozmawiała. Tłumaczyła, co i jak. No ale wyjechała już do Polski, a oni wciąż tu tkwią. Z tego, co mówiła, przeszli prawdziwe piekło. Męża tej kobiety torturowali, brat uciekł w góry. Nie mogę im tak źle życzyć. Robi

mi się głupio. Zaczynam się modlić. W imię Boga, miłosiernego sprawiedliwego... Ledwo zdążyłam zacząć, a przychodzi moja kolej, Kurdowie przeszli. Znów przelatuje mi przez głowę myśl, że jak oni tak, to znaczy, że ja nie, że kiedyś ta dobra passa musi się skończyć. Ale nie ma czasu się zastanawiać. Urzędniczka kiwa na mnie palcem, biorę dziewczynki za ręce, popycham do przodu Saida. Idziemy. Patrzę na jej mundur, zielony. Zielony to kolor islamu. Może przyniesie mi szczęście. Wiem, że nie można tak myśleć. Prawdziwi muzułmanie nie są przesądni. Jeśli coś mi się uda, to tylko dzięki Allahowi.

Rozmawiamy długo, pokazuję jej na komórce zdjęcie, zrzut ekranu ze strony internetowej radia Ozodi, gdzie jest wspomniane, że mój mąż, Farhidin Radżabow, został zatrzymany. Starannie ogląda dokumenty dzieci, muszę wyjaśniać, dlaczego starsze dzieci mają paszport na inne nazwisko niż najmłodsza. Po raz pierwszy mam wrażenie, że ktoś mi wierzy. To dobra kobieta. Jak ktoś jest dobrym człowiekiem, to wszędzie będzie dobry. A jak wredny, to zawsze, choćby nie wiem kim był.

– Prachadzicie – mówi w końcu z twardym polskim akcentem i pokazuje, że mam iść dalej, do Polski. Mam łzy w oczach. Wydaje mi się, że to „prachadzicie” to najpiękniejsze słowo, jakie w życiu usłyszałam.

Za mną ludzie zaczynają klaskać. Wykrzykują moje imię: Rahima, Rahima. Mówiłam, wszyscy mnie tu znają. Tadżycy, Czecceni, Kurdowie, nawet kilku Afgańczyków kojarzy mnie na pewno z widzenia. Od wielu dni co rano jeździliśmy tymi samymi busikami, potem kolejką, razem czekaliśmy do odprawy. Razem



wracaliśmy do Brześcia, jak nas cofali z granicy. Ale mnie już nie cofną, idę do Polski. Udało się. Bóg mnie wysłuchał, chwała Bogu. Alhamdulillah!

„Stowarzyszenie Amnesty International Polska obchodzi w 2020 roku 30-lecie swojej działalności. W tym czasie wspólnie z Wami walczyliśmy o prawa człowieka biorąc udział w protestach, zbierając podpisy pod petycjami, cyklicznie organizując Maraton Pisania Listów. Mimo zmieniających się okoliczności zawsze motywowały nas nadzieja i wolność.

Z okazji tego jubileuszu realizujemy wyjątkowy projekt, który powstaje we współpracy z polskimi twórcami i twórczyniami literatury oraz agencją kreatywną 180heartbeats + JUNG v MATT. „Wierzimy w wolność” to zbiór opowiadań o prawach człowieka”.

Poznaj te historie na: [amnesty.org.pl/wierzimy-w-wolnosc/](https://amnesty.org.pl/wierzimy-w-wolnosc/)

#30AmnestyPL

